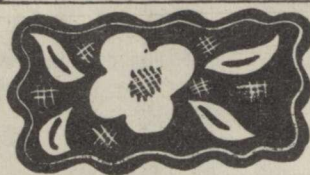


V.45

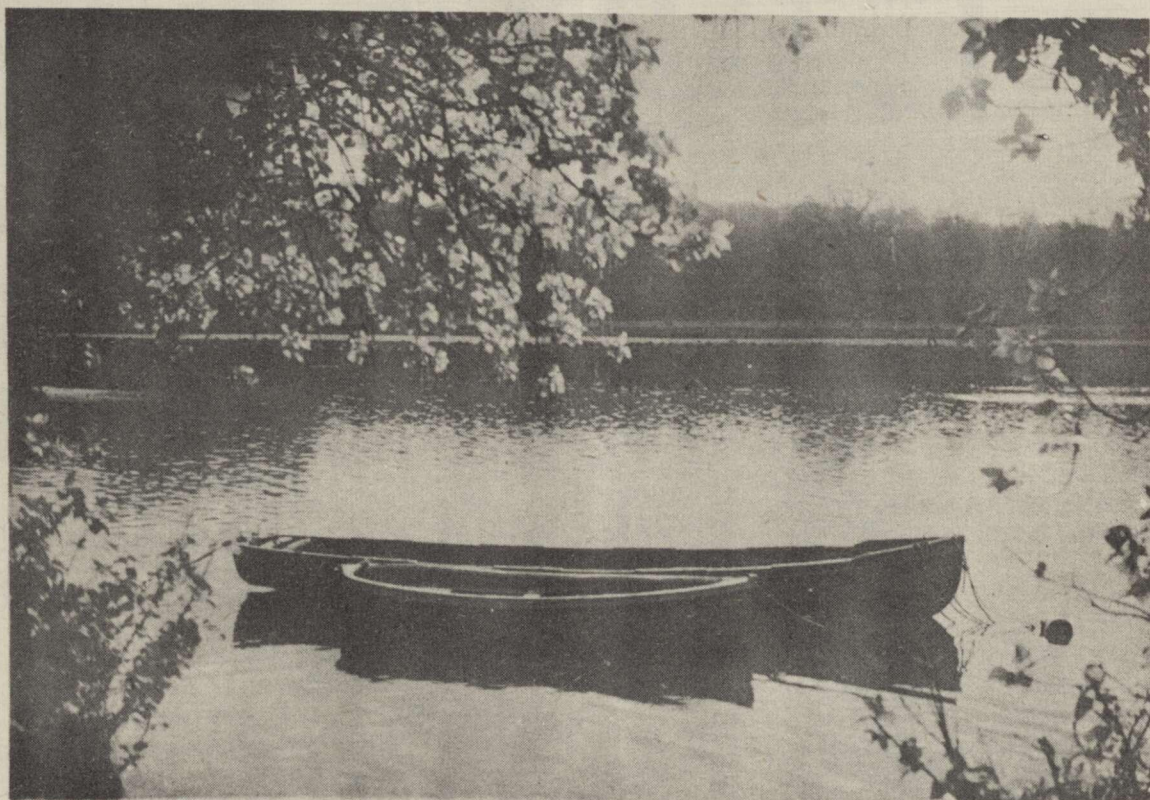


NOWINY



MATOWE

dla młodzieży



ZWYCIĘSTWO W EUROPIE



"Na samym łędzie zaszczytem dla Polaki, że oparła się ona, samotnie, przeważającym siłom niemieckiego napastnika. Narody brytyjskie i polski wspólnie walczyły przeciw naśmieszemu brutalnemu wrogowi w ciągu przeszło pięciu tragicznych lat okropnych cierpień dla ludności polskiej, której odwaga i wytrzymalność wzbudziły mój serdeczny podziw i współczucie. Dzielni polscy żołnierze, marynarze i lotnicy waleczyli obok moich sił zbrojnych w wielu częściach świata, wszędzie uzyskując ich wysokie uznanie. W szczególności my, w tym kraju, z wdzięcznością wspominamy rolę, odegraną przez polskich lotników w Bitwie o W. Brytanię, którą - te bitwy - cały świat uznaje za przełomowy moment w wojnie. Jest moja najszlachetniejsza nadzieja, że Polska uzyska nagrodę za odwagę i ofiarność w dążeniu do pokoju i międzynarodowej współpracy, wobec którego stoją teraz Narody Sprzymierzone."

/ Król Jerzy VI, de Prezydenta R. P.

w dniu Zwycięstwa w Europie, 8 Maja 1945/

Już na parę dni przed ogłoszeniem Zwycięstwa w Europie zaczęły się w Londynie ukazywać flagi, a w sam pamiętny dzień "VE" zrobiło się w tym szarym zwykłe miasto jasno od kolorów brytyjskich i alianckich. Wesołe, barwne tłumy obiegły Buckingham Palace, witały na cześć Króla, który, razem z Królową i z obiema księżniczkami, ukazywał się od czasu do czasu na balkonie, wywołując fale entuzjazmu i uniesienia. Kiedy premier Churchill przemówił do Londyńczyków, zebranych przed jego siedzibą na Downing Street - z pierai pięciu tysięcy ludzi wyrwała się ta patetyczna pieśń: "Rule, Britannia". Na Piccadilly Circus śpiewano i tańczono, przedstawiciele wszystkich broni i przedstawicielki kobiecich służb pomocniczych chwycili się za ręce i wesołym "węzłem" obiegali zamki i dzialnice kin, teatrów i wszelkich rozrywek. Cały Londyn oszalał; w restauracji wylewały się na ulice roztańczone pary; nieznamy różnym narodowości ścisnęli się nawzajem, jakby się znali od dziecka. Wieczorem zapłonęły we wszystkich dzielnicach olbrzymiego miasta stopy, do których, jak dymy do światła, zbiegali się okoliczni obywatele; rzucono na ogień drewniane części zbombardowanych domów, jakby chcąc zniszczyć tragiczne pamiętki wojny i tańczono nakoło tych stołów wesoły taniec zwycięstwa. W środkowych parkach, rozśpiewanych i roztańczonych, zapalały się nagle wśród nocy fantastyczne, kolorowe sztuczne ognie.

Gazety londyńskie przynosiły depeche ze świata, zawierające opisy Dnia Zwycięstwa w europejskich stolicach: "Paryż śpiewa", "Oale śmieje się" - brzmiały nagłówki. Ale depece z Warszawy tam nie było i nie było wiadomo, jak Dzień Zwycięstwa upłynął w Warszawie, murem milczenia od tego świata ludzi śpiewających oddzielonej. Warszawy zabrakło na radomej liście, tak, jak zabrakło Polaki na konferencji zwycięzców, w San Francisco.

Dla nas, Polaków, "VE Day" nie był jeszcze dniem powszechnego uniesienia i radości. Chociaż doceniamy znaczenie niemieckiej klęski, do której nasze armie w Kraju i za granicą przyczyniły się już nie w miarę sił, ale ponad siły, chociaż Zwycięstwo w Europie jest i naszym zwycięstwem, chociaż odetchnęliśmy z ulgą i z radością na myśl, że zmiądzona została zbrodnica potęga niemiecka i że już nam nie zagraża - przecież ten dzień, tak długo przez wszystkich Polaków wglądany, nie przyniósł jeszcze Krajowi naszym tei wolności, o którą walczyliśmy, prawo do której tak ciężkim okupiliśmy ofiarami.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

SZPAKI NAD TAMIZĄ

Pannie Ewie L.

Bywają czasem na skwerach Londynu / ale to tylko na niektórych skwerach / ptaszące sejmny. Z rozdzierkania słynne placyki maże w bok od Westminsteru i za Tamizą. Tam mieszkam - i wiosną ową gromadkę słyszę wielogłówną.

Lubię to gwarne i zgiełkliwe mrowie, bo przypomina ćwierćmiac plac Trzech Krzyży

tuż za kościołem/teraz tam pustkowie/, a z Trafalgaru gdy się zerwie wyżej i nad Tamizą mknie czerniawą chmurą, w oczach mam Wisłę z Zygmunta kolumną.

Mniej tutaj szpaków, niż na kontynencie, a już o wiele mniej, niż u nas w kraju, choć nikt się z proca za nimi nie kręci, wiekowi ludzie, chlebem wykarniają, leniwe koty dają folgę - czyli

są wszystkie dane do szpaczej idylli.

I myśmy tutaj, jak szpaki nieliczne,

k którym się niby niezgorzej powodzi :

i skwerki mamy, całkiem idylliczne,

i nikt nie tłucze nas, i nikt nie głodzi -

a przecież nigdy, przez najkrótszą chwilę,

nie mamy sobie tego za idyllę.

Może nie szpaki z nas, lecz większe ptaki, tęskniące ciągle do szerszego lotu?

A jeśli szpaki, to z gromady takiej,

która coś zawsze ciągnie do powrotu

i której jednak do istnienia trzeba,

choć okruszyny, lecz swojego chleba?

Obyż tak, oby - bo jeśli my, starzy,

spadniemy tutaj, latami przysuci,

wam, młodym ptakom, pewno się wydarzy

rozmachem skrzydeł do ojczyzny wrócić.

Niech wtedy Ewka po rosie przy kłosisie

kogoś miłszego "o wiersze poprosi".

JEDY JUB

NA KUBIERSKIM SZLAKU.

Chciałbym poświęcić to wspomnienie z wędrowki po okupowanej jeszcze wtedy Europie wszystkim tym tajemniczym, niezapomnianym sylwetkom, które przeszło rok temu na trasie WARSZAWA-LONDYN spotkałem; wszystkim tym, którzy pomiędzy Warszawą a Barceloną wyrastali nagle przede mną jak z podziemi, żeby obojętnym półgłosem szepnąć mi dwa słowa bezcennego ostrzeżenia czy informacji, żeby mi wsunąć do kieszeni dokument, żeby zamienić ze mną uśmiech i oddać "ukłony od Wandy", a potem odejść nie wiem dokąd, a potem zniknąć za rogiem ulicy - na zawsze.

Nie wiem i nie dowiem się nigdy, jakie były życia tych ludzi, nie wiem czy żyje jeszcze, lub jaka śmierć ich spotkała. Nie wiem jakie były ich prawdziwe nazwiska, nie wiem gdzie naprawdę mieszkali, nie wiem czy w tych mieszkaniach, które staram się sobie teraz napróżno wyobrazić, ktoś na nich czekał, czy też wieczory spędzali sam na sam ze strasznyimi swoimi sekretami. Tak już musi zostać : że Greta nie ma dla mnie nazwiska ani adresu i że ja zawsze będę widział na dworcu berlińskim, w dobrze zaprasowanym niemieckim mundurze; że nie dowiem się pewnie, jak się udała trzydziesta z rzędu, "jubileuszowa" podróź Janka z Warszawy do Paryża; może kiedyś odnajdę Gaston i Louise - i może im powiem, że wścieście wcale nie lubię befsztyków; może markiza de M... mnie mnie kiedyś na ulicy i nie pozna; byłem przecież tylko jednym z wielu tych, których pilotowała na tajne lotniska w okupowanej przez Niemców Francji.

X
X
X

O tym, że mam wracać do Anglii, dowiedziałem się w warszawskim tramwaju, w jedenastej. Spotkałem znajomego z Delegatury Rządu, który powiedział mi : - No, to wracacie. Jechałem na spotkanie z moim szefem, który mi ten rozkaz oficjalnie zakomunikował. Mam wyrzucić za cztery tygodnie. Zmartwiłem się bardzo, bom wracać nie chciałem, ale rozkaz jest rozkazem.

Te cztery tygodnie upłynęły na rozmowach i na pożegnaniach. Ostatniego dnia byłem na kilkugodzinnej odprawie u Delegata Rządu, a potem na drugiej, u Wandy. Wanda, sama spadochroniarka, była w tym czasie kierowniczką t. zw. "wydziału zagranicznego", czyli po prostu wyszki kurierów. W ciągu godziny udzieliła mi wszystkich niezbędnych informacji głosem spokojnym i bezbarwnym - powiedziałbym nawet, że nudnym. A to co mówiła mogłoby się stać podstawą dziesięciu sensacyjnych

powieści.

Wróciłem do domu i zacząłem się pakować i przebierać. Przybiegły jeszcze dwie łączniczki, przynosząc ostatnie wiadomości od Delegata Bzdgu. Przyjechała też Anna - wysoki dygnitarz w podziemnym biurze Delegata. Przemówień połączalnych nie wygłaszała, za to dała mi jabłko i kilo krakowskiej kiełbasy na drogę. Rozmawiając z nią, pako- wałem najcenniejszy swój bagaż - ważny materiał, który do Anglii miałem zawiązać - w różne, starannie z góry omówione miejsca.

Pierwszy raz od czasu przyjazdu z Anglii wyszedłem potem na miasto po godzinie policyjnej. Ale nie miałem się czego obawiać: nosiłem mundur niemieckiego "frajtra", a w kieszeni tego munduru doskonałe, nowiutkie dokumenty, z których wynikało, że inżynier Schultz, Volksdeutsche, powołany ostatnio do armii jako specjalista od spraw V₂, udaje się do Niemiec w tajnej misji, związanej z tą nową bronią.

Scięższe instrukcje Wandy pomogły mi w omnięciu kontroli niemieckiej przy wejściu na warszawski Dworzec Główny. Dostałem się na dworzec wejściem bocznym, odnalazłem swój peron i stanąłem w jakimś kącie, otoczony żołnierzami niemieckimi, jadącymi z frontu na urlopy. W pewnej chwili zauważyłem znajomego z biura Wandy, który przeszedł się kilka razy po peronie, nie zwracając na mnie żadnej uwagi. Kiedy pociąg zjechał, wsiałem i rzuciłem przez okno ostatnie, połączalne spojrzenie na ten swojski peron warszawski. Wtedy znajomy z biura Wandy uśmiechnął się do mnie nieznacznie i szybko odszedł - zameldować, że odjechałem bez przeszkód.

Pociąg ruszył; przykucałem w korytarzu. Gdzieś koło Kutna za- rzęcono nagle alarm; pociąg w niebezpieczeństwie! Żołnierze niemieccy rzucili się do okien z bronią w pogotowiu. Jeden z nich wyjął mi głosem, zdradzającym się tu bardzo często napały polskich dywersantów. Ładna historia! Stąknęłam i ja przy jakimś oknie, ale było mi bardzo głupio. Bałem się o wiele więcej niż oni, bo oni przecież nie znali tego wariata Tadzika, komendanta naszego oddziału dywersyjnego w tym okręgu, oni nie wiedzieli, jaki to jest chłopak "do wszystkiego", oni nie szyskali jak jeszcze dwa dni temu, zagnając się za mną, dowódcą Tadzika obypywał go pochwałkami za skuteczne napały reparyjne na pociągi Warszawa-Berlin. - Ładna historia, myślałem sobie. Wylecieł w powietrze ze wszystkimi tymi Niemozakami, albo marnie zginął od kul któregoś z żołnierzy Tadzika, który przecież nie wie, że ja tym właśnie pociągiem jadę do Berlina. Moje jakieś przeczuć ostrzegło Tadzika, bo tym razem pociąg nie został zaatakowany. Przejechaliśmy niebezpieczną okolicę, alarm odwołano. Zasnęłam, a na moim ramieniu widzęcznie oparł ryżę głowę jakiś niemiecki żołnierz. Tek dojechalibyśmy do Berlina, na Dworzec Śląski.

Na stacji w Berlinie miałem się zapytać o pociąg do Kolonii/bo inżynier Schultz jechał właśnie do Kolonii/ - ale, zgodnie z instrukcjami, miałem uniknąć zwracania na siebie uwagi, bo na dworcu roi się od agentów. Zastanawiałem się właśnie, kogo by tu o pociąg do Kolonii

zapytać, kiedy podeszła do mnie młoda dziewczyna w mundurze niemieckiej służby pomocniczej i spytała, czywiście po niemiecku: - Czy mogę państwu w czymś pomóc? I dodała ciszej: Ukłony od Wandy. Pociąg do Kolonii odchodzi o 12.35. Czy chce pan w międzyczasie zwiedzić Berlin?

Nieco oszołomiony wyszedłem za nią z dworca na ten spacer po Berlinie. Greta /tak miała dziewczyna na imię, o prawdziwe imię oczywiście nie pytałem/ była rzeczowa i uprzejma, udzielała mi różnych informacji tak, jakby to robił przewodnik z Cook'a czy z Orbisu. Odprawiła mnie po spacerze na dworzec i dopiero kiedyśmy się żegnali pierwszy raz jakby się na chwilę odmięła: - "Szczęść Boże, szepnęła po polsku, a potem znów mówiła coś głośno po niemiecku, znów zszepnęła. I tak ja na tym dworcu w Berlinie zostawiłem.

Jechałem do Kolonii trochę niespokojny, bo tu się kończyły dokumenty inżyniera Schultza. Greta powiedziała mi naprawdę, żebym się nie martwił, bo ktoś mnie odzukał na i naprawdę, żebym się w wszelki wypadek. W przedziale jechało ze mną z dziesięciu żołnierzy niemieckich, narzekających zgodnym chórem na przedziałającą się wojnę, na naloty, na wszystko. Starając się odzywać jak najmniej, bo po paroletnim pobycie w Anglii wyraży angielskie mieszają się gęsto w moje niemieckie konwersacje. Na szczęście odwołało żołnierzy na kolację. Oświadczyłem, że nie pójdę, bo mnie boli głowa: po pierwsze chciałem trochę odpocząć, a po drugie chciałem w samotności zjeść krakowską kiełbasę i jabłko, bo nie umiałem w sobie wcale perspektywa dzielenia ich z niemieckimi "towarzyszami broni". Ale nie cieszyłem się samotnością długo: drzwi moje przedziału otworzyły się nagle, na progu stanął jakiś kapral i zapytał mnie ostro, dlaczego nie posiadam na obiad. Odpowiedziałem, że mnie boli głowa. - Głowa, eh? - zawałał kapral i dodał, żebym się nie wykręcał, bo on dobrze wie o co mi naprawdę chodzi. Potem wszedł do przedziału i zamknął drzwi za sobą. Miałem najgorzej przeczuć. Mój niemiecki kulał bardziej niż kiedykolwiek, wyraży angielskie pchały się "drzwiami i oknami". Kapral usiadł naprzeciwko mnie, uśmiechnął się do mnie i odezwał się nagle po polsku, najczystszym warszawskim akcentem:

- Z tego widzę, żeś pan nie frajer, bo pan wolisz kiełbasę krakowską w samotności, niż zupkę na wodzie ze Szwabami. I dodał z uśmiechem: Ukłony od Wandy.

Milczałem - bo cóż można było powiedzieć? Kapral zaczął ogryzać jedno z moich jabłek i wyciągnął z kieszeni jakieś dokumenty: - To są pana nowe papiery, oświadczył, jeszcze ładniejsze niż tamte. W Kolonii ważne pan pociąg do Charleroi, a z Charleroi do Paryża. Tu są bilety. I niech się pan nie przejmuj, bo ja już dwudziesty dzień widać raz te trasy robię i jeszcze się nikomu nie nie stało.

I zniknął. Zobaczyliśmy się na dworcu w Paryżu i Johann/czyli Janek, kapral w wojsku niemieckim a podporucznik Armii Krajowej/ zaprosił mnie na noc do swojego hotelu dla podoficerów niemieckich, oraz na uroczyste obławianie tej dwudziestej dziewiętej okazji.

Następnego dnia odnaleźliśmy Hiszpana Pablo w pewnej kawiarence

paryskiej. Rozmawialiśmy czas dłuższy, popijając kawę i w wyniku tej konferencji - stałem się Szkotem i zamieszkałem u p. Gaston L. Żona tego miłego starszego pana karmiła mnie co dzień niedosmaczonymi, krwawymi befsztykami, kupowanymi na czarnym rynku specjalnie na moją cześć, kosztem wielu napewno wysiłków. Zmieszkałem się do zjedania tych befsztyków, żeby jej nie zrobić przykrości. Mogłbym o samym tym pobyć i o państwa L. napisać smutną nowelkę pod tytułem: "Jak sobie Francuzi wyobrażają kuchnię angielską".

Z Paryża pojechałem na południe Francji i przez czas pewien czekałem na samolot, który zabrał mnie miak bezpośrednio do Anglii. Samolot nie nadjechał z powodu jakiejś okolicznej "wyspy", więc pani de M... nowa moja przewodniczka, umieściła mnie w pewnej szkole dla dziewcząt, niedaleko Tuluzji. Spotkałem w tej szkole oficera angielskiego i dwóch lotników amerykańskich, tak jak i ja czekających na wskazówki, jak dalej jechać - do Anglii. Może was dziwi, że ich spotkałem właśnie w szkole dla dziewcząt? Mnie już wtedy nie było w stanie zadziwić.

Przejeżdżając przez Firencję to jedno z tych wspomnień, o których mówi się później, że "na zawsze pozostała w pamięci". Przechodziliśmy w grupie około 40 mężczyzn, w tym 35 Polaków, jeden Anglik, dwaj lotnicy amerykańscy, ja jako Szkot, no i przewodnicy.

Szliśmy trzy dni wśród śniegów i wicherów, krótko tylko odpoczywając. Wielu z pośród tych, co szli ze mną, przypłaciło to przejście odmożeniem i amputacją nóg lub rąk. Na krótkich postojach padaliśmy ze zmęczenia i niejednemu powiedziałem sobie, że już nie wstanie, że już mi wystarczy jedno, lepiej umrzeć. Potem wstawiliśmy i szliśmy dalej. Byłem pełen podziwu dla grupy Polaków, którzy z uporem i wytrwałością szli przez te piekielne góry, wsierając się i wspomagając nawzajem. Ja sam oglądałem się tylko na cenny mój bagaż, który musiał do Anglii dotrzeć, cokolwiek by się stać miało.

Skończyła się wreszcie nasza koszmarna wędrówka i wyładowaliśmy w jakimś "hotelu" - przynajmniej przewodnicy nas nazywali do hotelu, ale głównymi mieszkańkami tego zakładu były owce. Rzuciliśmy się na ziemię i zasnęliśmy snem ciężkim, a owce łączyły między nami i po nas, becząc żęczośnie.

Ciężarowy wóz zabrakł nas w dalszą drogę i znów nam później kazano czekać w innym "hotelu", podobnym do tego pierwszego hotelu na ziemi neutralnej. Czekaliśmy zmęczeni i oswiali, nie mówiąc nic. Wszedł do Izby jakiś wysoki cywil, którego nigdy przedtem nie widziałem, rozejrzał się, jakby kogós wśród nas szukając, a potem podszedł prosto do mnie i, wyciągając rękę, powiedział: - Hello, George. Jak się na Wanda ?

Tak, po dwóch miesiącach, skończyła się moja wędrówka przez okupowaną przez Niemców Europę. Dotarłem do Anglii było już kwestia dni. Kiedy, już w Anglii, wsładałem do pociągu, który miak mnie za - wieść do Londynu, na małej stacji prowincjonalnej rzucił mi się w oczy napis: Is your journey really necessary ?

J. GÓRBECKI

TRZECI MAJ w okupowanej przez niemców Warszawie

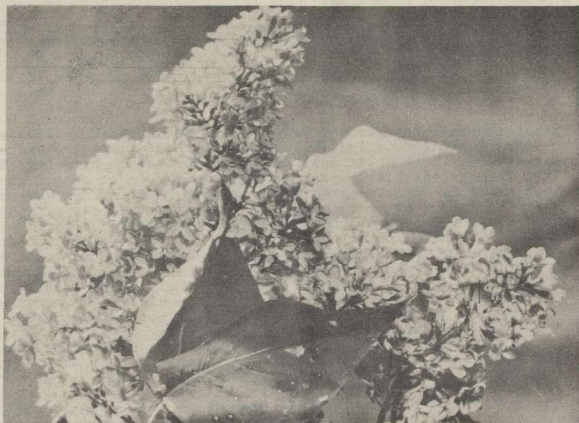
(Wyjętek z "KAMIENI NA SZANIEC" /

Manifestowanie rocznic narodowych wiązań na siebie Mały Sabotaż jako jeden z obowiązków. Wojtek, Czarny i ich koledzy dwukrotnie w czasie swojej służby przeprowadzali akcje uliczne na Trzeciego Maja i na Jedenastego Listopada.

Specjalnością trzeciomajową w owe czasy było malowanie barw narodowych na murach białą i czerwoną kredą, lub też umieszczanie w różnych miejscach małych biało-czerwonych chorągwek. Zadania te, trudne wobec wzmoczonej czujności Niemców - nie zadowalały jednak ambicji Czarnego ani Wojtki. Barwy narodowe? Zgodzi! Ale barwy narodowe w takich wielkościach i w takiej formie, żeby całe miasto naprawdę je widziało!

Urządono zakupić gdzie tylko się da płótna białego i czerwonego i uszyć ogromne, parometrowej długości flagi, a potem zawiesić je na drutach tramwajowych i na latarniach elektrycznych. Ale jak? Wojtek i Czarny na to pytanie odpowiedzieli dwiema odmiennymi propozycjami, a ponieważ każdy upierał się przy swoim pomysłu, więc Staśka zdecydował, że zespoły ich wykonają zadania na różne sposoby, według pomysłów swoich wodzów. O trzeciomajowym świątku Wojtek ze swoimi zaczął zarzucać na przewody tramwajowe chorągiewki, przymocowane do sznurka, na którego końcu był kamień. Był to t. zw. system "zarzucania", system może żarty dla Polinezyjczyków - ale bardzo trudny dla pozbawionych wprawy Warszawiaków. Jakże się chłopczy nakłęli i napocilił, zamim ich chorągiewki zawisły na drutach! Ale kiedy już raz taka chorągiewka zawisała, nie było innego sposobu na jej usunięcie niż sprowadzenie specjalnego wozu tramwajowego, lub straży polnej. Wojtek, dumny jak paw, czyhał z aparatem fotograficznym na te wozy i, uwieczniwszy scenę zdejmowania chorągwi, pokazywał potem fotografie kolegom.

System Czarnego znany jest jako "system blokowy". W jaki sposób dostać Czarny klucz do opuszczania ulicznych latarni elektrycznych - to było jego tajemnicę. Dość, że dostał. W znajomym warsztacie dorobik jeszcze kilka takich kluczy, rozdał je swoim chłopcom i wieczorem przed Trzecim Majem popuszczali dziesiątki latarni i przymocowali do nich długie sznurki - tak, jak się przymocowuje sznur do masztu dla wciągnięcia flagi. Same chorągiewki chłopcy przywiązali dopiero następnego ranka, w dzień święta. Czarny z najwyższym kolega ze swojej grupy, Małym, objechał wszystkie punkty; powiesił flagi na maszty, a potem uciął końce sznurków jak najwyżej, żeby nikt flagi nie dościsnął. Przed ósmą rano robota była skończona.



M. W. PONIKOWSKA.

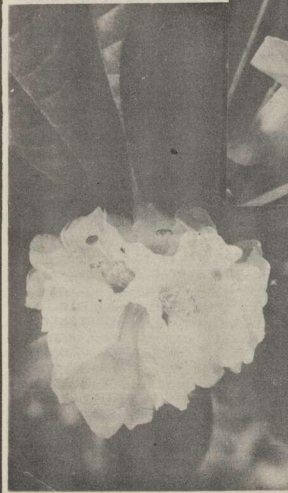
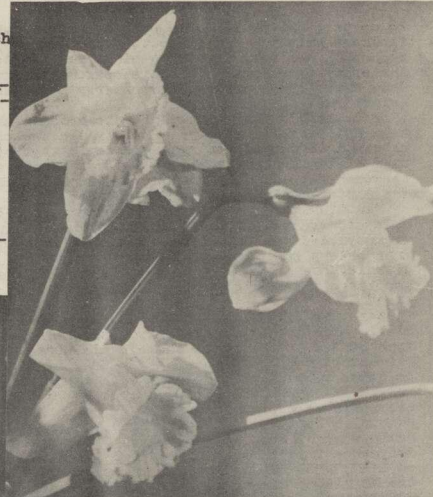
WARSZAWA, WIOSNA, IMIENINY.



prawie każda pensjonarka warszawska marzyła skrycie o tym, żeby mieć na imię Dolores, albo Aurora - ale tak się złożyło, że co czwarta chyba miała na imię Maria, co piąta - Zofia, a niektóre, mniej szczęśliwe, po prostu : Stanisława, albo jeszcze gorzej : Franciszka, a nawet /o zgrozo/ Petronela.

Z punktu widzenia imienin Marie były w najlepszej sytuacji, bo właściwie mogły obchodzić imieniny prawie co miesiąc. Zofie za to obchodzili imieniny tylko raz na rok, w maju. 15-ty maja, dzień Zofii, był w Warszawie dniem bardzo uroczystym. Już na wiele tygodni, a nawet i miesięcy przed 15-tym maja rozpoczynano przygotowa-

nia w warszawskich i podmiejskich zakładach ogrodniczych. Byłam kiedyś na praktyce w dużych zakładach Nowakowskiego, na Ulrichowie, jednym z przedmieść Warszawy. Otóż zakłady Nowakowskiego właściwie zaraz po Wielkiejnocy zaczynały żyć pod znakiem Zofii. Smukłe róże, piękne hiacenty, urocze małe bratki, pretensjonalne hortensje, irysy pachnące łęką, miejs-



kie goździki, pyszałkowate tulipany i lewkonie z-każdym-za-pan-brat - kolorowe, pachnące zastępy kwiatów wznosiły pod naszymi troskami - wym okiem - dla tysięcy Zofii.

Na tydzień przed Zofią zaczynało się w zakładach naszych prawdziwe piekło. Zdenerwowany szef obiegał szklarnie dokoła, narzekając, że wszystko mu kwitnie za wczesnie/ albo za późno/. Cały personel, z praktykantami włącznie, starannie unikał wpadania mu w oczy; najlepiej było udawać, że się pomaga przy pakowaniu. W biały zwoje papieru trzeba by-

zo na parę dni przed Zofią pakować czerwone, niebieskie, żółte i fiołkowe kwiaty - wyglądało to zupełnie jak jakaś zabawa w kolory, zapachy i szelesty. Samochody ciężarowe samejeżdżały pod zakłady i zabierały transporty starannie opakowanych kwiatów. Telefon zakładowy dzwonił bez przerwy, bez przerwy napływały nowe zamówienia, od kwaciarni i od osób prywatnych.

Podczas, gdy wielkie kwaciarnie śródmiejskie troszczyły się o najcenniejsze, najładniejsze kwiaty dla swoich Zofii - studentki, uczniowie i ci wszyscy, których kieszenie zbyt były puste aby mogli marzyć o cieplarnianych różach czy goździkach, spać nie mogli ze zdenerwowania: czy bez ogrodowy zakwitnie na czas? Czy narocy będą już dostatecznie tanie na piętnastego?

Nam, mieszkającym od kilku lat w Anglii, całe to opatanie majowe może się wydawać dziwne. W Londynie, mieście tyle razy od Warszawy większym, żadnych kwaciarni jest mniej, niż ich było w Warszawie. Inne sklepy są tu wspanialsze i bogatsze niż u nas; ale nie kwaciarnie. Może obfitość i bogactwo kwiatów warszawskich mają coś wspólnego z tradycyjnie rycerskim stosunkiem Polaków do "pici szabszej"?

Zaraz po ogrodnikach najwięcej kłopotu i krzątania przed Zofią mieli cukiernicy, restauratorzy, piekarze, oraz matki i ciotki licznych Zofii. - "Przyjęcia żadnego nie urządzamy, ale trzeba dać gościom chociaż po filiżance kawy" - mówiły matki i ciotki, tasząc do domów ryby, szynki i pieczenie, a zapominając o kupieniu właśnie kawy. W sklepach żywnościowych tłók był wielki; ale nie tylko w żywnościowych. Właściwie wszystkie sklepy przybierały wykład trochę odświętny, a Zofie przystawały przed wystawami niby tak sobie, od niechcena, w głębi duszy jednak robiąc różne przewidywania i kalkulacje, dotyczące imiennowych prezentów.

Kiedy wreszcie nadchodził dzień oczekiwany - Zofiom przynosił trochę miłych niespodzianek, a trochę rozczarowań, czyli to samo mniej więcej, co nam wszystkim przynosi każdy inny dzień. Caka miasto odmieńało się jednak dziwnie: pucołowaci chłopcy z cukierni miejskiej od rana biegali po mieście, dźwigając wspaniałe torty; inni rozwadzili kosze i wianki kwiatów. Pod wieczór robił się w tramwajach i autobusach tłók niezwykły, a co drugi pasażer niósł pod pachę w szelerszącą bibułkę owinięte kwiaty. Gazety publikowały Zofiom poświęcone okolicznościowe wiersze i felietony. Święto Zofii nie było już właściwie świętem rodzinnym, prywatnym: nabierało charakteru jakby sprawy publicznej.

Tak, jak w każdej prawie polskiej rodzinie - w mojej rodzinie też była Zofia i w ten dzień 15 maja trzeba było od rana układać w wazonach kwiaty i pomagać w nakrywanu stołów do tej "filiżanki kawy". Pod wieczór nie można się było właściwie w mieszkaniu ruszyć. Kwiatów było pełno na stołach i pod stołami, na oknach, na podłożu i wszędzie.

Teraz myślę, że nie było tych kwiatów za dużo, bo od lat sześciu Zofie nasze muszą w dzień imienin wspomnieniami tylko ozdabiać smutne, puste, tragiczne swoje mieszkania.



Wydawnictwo "Ziarni Rolniczej do Sokołkiej"

Jerzy Pomian. Wyd. Składnicy Księgarskiej w Dąbnurze.

Młody chłopiec szkocki, Bruce, przyjeżdża do polskich przyjaciół na wakacje latem 1939 roku. Zapoznaje się z pięknem nadgranicznych zachodnich ziem polskich, uczy się rozumieć i lubić ich mieszkańców. Te bez troski, wesołe wakacje były ostatnią chwilą ciszy przed nadchodzącą burzą, ciszy, w której jednak można już było odkryć złowidne oznaki. Jakis ruch niezwykły panował wśród kolonistów niemieckich, tych "spokojnych" i "lojalnych" obywateli Rzeczypospolitej. Po lasach, po domach prywatnych, zbierają się małe grupki ludzi, poddawiających się słowami "Heil Hitler". To ponura armia sabotażu i zdrady, oszawiona "pięta kolumna" niemiecka, przygotowywała się do ataku.

Wybuch wojny zaszkodził młodemu Szkotowi w Polsce. Razem z nim i z jego przyjaciółmi - Polakami, przeżywamy na nowo dzieje tej tragicznej krótkiej, ale pełnej chwały kampanii. Pod wpływem tego, co widzi w Polsce, Bruce z obserwatora zmienia się zwolna w najgorętszego przyjaciela Polaki i wreszcie przywdziewa mundur polskiego żołnierza. Jest świadkiem okrucieństw niemieckich i bezwzględnej prześladowania Polaków, jest świadkiem bitew, w których bezmiernie bohaterstwo polskie mierzył się mści z ogromną przewagą świetnie uzbrojonych i wyszkolonych Niemców. Na każdym kroku napotyka na świdrowca zdrady, na postępną działalność piętej kolumny. On sam i jego polscy przyjaciele przypadkiem wpadają na trop jednego z najwybitniejszych agentów hitlerowskich - nieuchwytnego, tajemniczego "Kondora" - i ścigają go nieustraszenie, aż wreszcie "Kondor" wpada w ręce władz polskiego państwa podziemnego.

A potem - różnymi drogami - ruszają bohaterowie powieści długim szlakiem "z ziemi polskiej do szkockiej", aby wreszcie na tej ziemi szkockiej spotkać się znowu w jednym szeregu.

Taka jest - w skrócie - treść książki, którą autor poświęcił "przyjaźni polsko-szkockiej oraz pamięci tych wszystkich Brytyjczyków i Polaków, którzy oddali życia za wspólną sprawę". Przeważająca ona była w pierwszym rządzie dla czytelników brytyjskich, którym daje wiele ciekawych informacji o naszym kraju. Ale i polski czytelnik przeczyta ją z przyjemnością i zainteresuje się żywo przygodami szkockiego chłopca i jego polskich przyjaciół. W chwili obecnej, wobec ostatecznej klęski niemieckiej, dobrze jest wrócić myślą do początku tej ogromnej burzy, która od lat z góra pięciu szaleje nad światem: do dni kampanii wrześniowej.

B. O.

"A jutro cały świat"

Mówi się często, że film ma o wiele większe możliwości niż teatr; nie zamierzam tu z tą opinią dyskutować. Jeżeli jednak twórca amerykańskiego filmu "Tomorrow the World" miał większe możliwości, niż reżyserzy sztuki "Tomorrow the World", granej od dłuższego czasu w teatrze Aldwych w Londynie - no, to szkoda, że ich nie wykorzystali. Sztuka jest ślaba, a film na jej podstawie oamuty - jeszcze słabszy. Nasuwa mi to bardziej ogólny wniosek, że "możliwości" ma d o b r y film i d o b r y teatr, a zły film i zły teatr w ogóle ich nie mają i szkoda czasu na porównywanie i dyskusowanie tego braku możliwości.

Zagadnienie w sztuce i w filmie poruszone jest bardzo ciekawe: dwunastoletni Emil Bruckner przyjeżdża z samego sereca ogarniętych pożarem wojny hitlerowskich Niemiec do Stanów Zjednoczonych, do normalnego amerykańskiego domu i przywozi ze sobą - oprócz kompletnego munduru Hitler Jugend - cały bagaż przewrotności, sła, zakłamania, intrygi i intrygtek. Straszny ten chłopak z Niemiec jest w najwyższym stopniu antypatyczny, zwłaszcza z zestawieniu z córką jego amerykańskiego opiekuna, szeszerą, miłą, koleżeńską Pat. Emil kłamie, Emil szpieguje, Emil robi intrygi, Emil bije się ze słabszymi kolegami, Emil wszystko wie najlepiej i nigdy nie pyta "dlaczego", bez przerwy tylko powtarza rozmaite hasła i opowieści, których go w hitlerowskich Niemczech na pamięć naucono. Zraża więc do siebie stopniowo wszystkich kolegów w szkole /choćże właściwie miał zamiar zostać ich "führerem"; w ogóle z początku bardzo był zdziwiony, że oni w tych amerykańskich szkołach nie mają żadnych "führerów", czy "leaderów" i całą - oprócz Pat - rodzinę swego opiekuna. Pat po zostaje jego jedyną przyjaciółką, mimo, że o mały włos jej nie szabił w przystępie dzikiej obawy, że opowie ona ojcu o niemiłych planach Emila zorganizowania sieci szpiegowskiej na rzecz Niemiec. Wszyscy inni dochodzą już do smutnego wniosku, że im się nie uda zrobić z Emila normalnego chłopca i po różnych aktach barbarzyństwa z jego strony postanawiają oddać go w ręce policji.

Ale dobroć i przywiązanie Pat, każdy urodzinowy prezent /upragniony przez Emila zegarek, świecący w nocy/ i groźba zawołania policjanta - doprowadzają w teatrze do załamania dwunastoletniego "nadozwolaka", z którego nagle wychodzi zwykła beksa i obiecuje, pochlipując, że już nigdy nie będzie. W kinie Emila Brucknera nabił jeszcze przedtem porządnie jego kolega, Babrowski, Polak z Ameryki - symbol zjednoczenia sił Starego i Nowego Świata w walce z barbarzyństwem.

I w kinie i w teatrze cała rola Emila, a zwłaszcza dramatyczne sceny końcowe, są doskonale odegrane przez młodych artystów. Jednakże publiczność, która interesuje się tak bardzo teraz palącymi problemami: "co zrobić z Niemcami" i "jak wychować młode pokolenie niemieckie" - nie otrzymuje właściwie na te pytania żadnej odpowiedzi. Trudno bowiem przypuścić, żeby autorzy tej sztuki spodziewali się na serio, że świat będzie milionom młodych Niemców czy dzieci niemieckich ofiarowywał zegarki na prezenty urodzinowe, a jednocześnie będzie im groził policją - i że to napewno rozwiąże zagadnienie. Czy nie będzie sprawiedliwie zachował wszystkie zegarki świata dla tych, których właśnie Niemcy pozbawili już nie zegarków, ale rodzin, dachu nad głową i kawałka chleba. Zwłaszcza w świetle nie tak dawno opublikowanych potwornych wiadomości o niemieckich obozach koncentracyjnych - szeregów nam, Polakom, od dawna już znanych - te pomysły autorów "A jutro cały świat" wyglądają dosyć naiwnie. Myślę się oni, jeśli rzeczywiście są, że wśród młodego pokolenia znajdzie się wielu idealistów takich jak Pat, którzy z wrodzonej lojalności i dobroci, z wrodzonej wiary w dobroć innych ludzi - okażą pokonany Niemcom sympatią i współczuciu. Mógł ten bowiem z własnej, nieprzymuszonej woli świadomie rozwinąć w sobie tak niesłychane okrucieństwo, tak potworną brutalność, że historia nie zechce mu tego nigdy zapomnieć ani wybaczyć, a z pewnością współczesny nie wybaczą mu tego przede wszystkim idealiści, ci, którzy w dobroć innych ludzi najmocniej wierzyli. Hańba Majdanaka, Oświęcimia, Dachau i Buchenwaldu nie sypnie żyj jednego Emila Brucknera, którego koleżdy z Hitler Jugend - sądząc z doniesień korespondentów alianckich z Niemiec - bynajmniej za grzechy nie żałują i nie płaczą.

Wszyscy czy dziś zastanawiają nad bardzo trudnym i skomplikowanym zagadnieniem przyszłości Niemiec i dlatego dobrze się stało, że sztukę taką napisano i wystawiono, że poruszone problem tak palący. Szkoda, że go nie spróbowano rozwiązać w sposób sumienny i poważny, szkoda, że nie uniknięto taniach akcentów propagandowych.

Przypomniałem sobie, wyszedłszy z kina na Piccadilly Circus, gdzie właśnie ten film wyświetlano, pierwsze miesiące okupacji niemieckiej w Warszawie. Ulice dudniły krokami niemieckich żołnierzy i rozbrzmiewały ich triumfalnymi pełniami, pełnymi chorobliwych przechwałek. "Dzisiaj należy do nas Europa - a jutro cały świat". Mój dwunastoletni siostrzeniec zarzucał mnie pytaniami: "Jak długo Niemcy będą w Warszawie? Dlaczego pobili tego starego Żyda na ulicy? Dlaczego zabrali nam radio? Starąłem się mu wytłumaczyć, że Niemcy są narodem obłąkanym chciwością i pycha, że chcą zrzucić całym światem, a nie mają do tego żadnego prawa i dać do panowania nad światem po trupach setek tysięcy ludzi.

- A po co rządzić całym światem? - zapytał wtedy mój siostrzeniec. Ale Emil Bruckner napewno ani sam sobie, ani nikomu innemu takich prostych pytań nie zadawał.

Karol B.

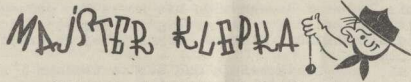
JĘSZCZE O FILMIE „HENRY V”

Koszt produkcji szekspirowskiego filmu „HENRY V” wynosi 470 tysięcy funtów, co mniej więcej czterokrotnie przewyższa koszt produkcji przeciętnego filmu brytyjskiego.

Dla wywołania efektu jesiennego pory roku w bitwie pod Agincourt /nakręcanie zdjęć odbywało się latem/, rośliny i drzewa okoliczne skropiono płynną farbą o jesiennych barwach.

Scena bitwy pod Agincourt filmowana była w południowej Irlandii, niedaleko Dublina. Irlandczycy słyną jako świetni jeźdźcy i miłośnicy sportu konnego. Wytwórnia zatrudniła przy tych zdjęciach przeszło pół tysiąca ludzi, którzy przez szereg miesięcy opłacani byli tylko za...niegolenie się i niestrzyżenie włosów i bród, bo wytwórnia chciała uniknąć użycia peruk i sztucznego owłosienia.

W okresie nakręcania zdjęć co ranka chmury owłosionych obryzmów w najbardziej cudacznych strojach zjeżdżały się do miejsca "bitwy" na...rowerach. Stanowiło to widok groźny i niesamowity, zwłaszcza, że reżyser, Laurence Olivier, gorliwie przestrzegając realizmu zdjęć, zapatrzył walczących w prawdziwą średniowieczną broń: żuki, tarozę, kopje i miecze. /AL. RAB./



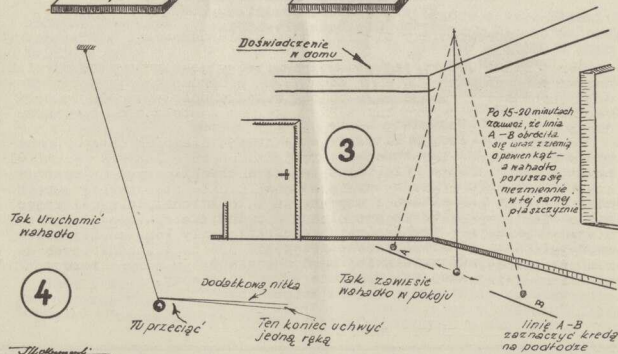
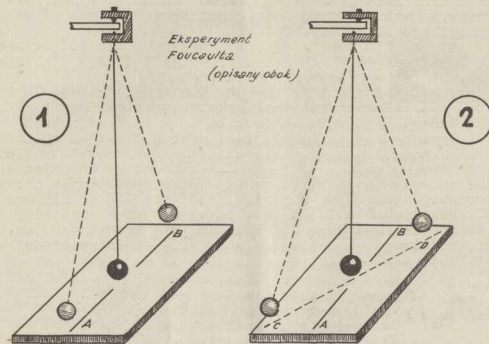
bada, czy ziemia naprawdę się obraca.

Obrót ziemi dokoła jej własnej osi, który jest przyczyną zjawisk, nazywanych przez nas Dniem i Nocą, można w bardzo prosty sposób samemu sprawdzić i zbadać przy pomocy wahadła. Doświadczenie to jest bardzo ciekawe i bardzo łatwe. Pierwszy raz zostało ono przeprowadzone w roku 1851 przez Leona Foucault.

Foucault zawiesił kulę żelazną na drucie długości około 65 metrów w wieży paryskiego Panteonu. Kula nieznacznie dotykała ziemi. Obrzynie wahadło, rozruszane, co osiem sekund robiło rysę na piasek - czyste podłożu wieży. Po dłuższej chwili dokoła się zauważyć, że chociaż kierunek samego wahadła wcale się nie zmienił, kula, ocierając się o ziemię, rysowała kreski o coraz to innym, stopniowo się zmieniającym odchyleniu. Wkrótce się okazało, że cały Panteon się obraca. Wyjaśnienie tego zjawiska jest bardzo proste: wahadło, swobodnie zawieszona, bezwładnie się waha stale w tym samym kierunku, ale ziemia się pod nim obraca.

MAJSTER KLEPKA

BADA CZY
ZIEMIA
NAPRAWDĘ SIĘ
OBRACA



KĄCIK LITERACKI

FRANCISZEK KARPÍŃSKI



PIEŚŃ PORANNA.

Kiedy ranne wstają zorze,
 Tobie ziemia, Tobie morze,
 Tobie śpiewa żywioł wszelki,
 Bądź pochwalon, Boże wielki!
 A człowiek, który bez miary
 Obsypany Twymi dary,
 Coś go stworzył i ocalił,
 A czemużby Cię nie chwalił?
 Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
 Wnet do mego Pana wołam,
 Do mego Boga na niebie,
 I szukam Go koło siebie.

Wielu snem śmiertci popadli,
 Co się wczoraj spać pokładli,
 My się jeszcze obudzili,
 Byśmy Cię, Boże, chwaliłi.



PIEŚŃ WIECZORNA

Wszystkie nasze dzienne sprawy
 Przyjm litośnie, Boże prawy!
 A gdy będziem zasypiali,
 Niech Cię nawet sen nasz chwali.
 Twoje oczy obrócone
 Dzień i noc patrzą w tę stronę,
 Gdzie niedołężność człowieka
 Twójego ratunku czeka!
 Odwracaj nocne przygody,
 O! wszelakiej broń nas szkody,
 Miej nas wiecznie w Twój pieczy,
 Stróżu i Sędzio człowieczy.



FRANCISZEK KARPÍŃSKI

Karpiński urodził się w roku 1741 na Pokuciu, a zmarł w 1825 w Chorowszczyźnie, na Litwie. Za życia swego wydał kilka tomów, a mianowicie: "Zabawki Wierszem i Przykłady Obyczajne", "Zabawki Wierszem i Prozą" i "Pieśni Nabożne". Pośmiertnie wydano ciekawą pamiętniki Karpińskiego, napisane częściowo pod wpływem "Wyznań" wielkiego pisarza francuskiego, Jana Jakóba Rousseau.

Najbardziej powszechnie są dziś znane niektóre z jego Pieśni Nabożnych, a przede wszystkim: "Pieśń Poranna" i "Pieśń Wieczorna" oraz kolęda "Bóg się rodzi"; uczy się ich każde dziecko polskie w szkole, czy w domu.

Mickiewicz zachwycał się sielankami Karpińskiego, bardzo w swoim czasie popularnymi. Jeszcze nasze matki czasem nuciły tę najładniejszą chyba z jego sielanek, "Filon i Laura": "Już mnie zaszedł, psy się uspiły i coś tam klaszcze za borem - pewnie mnie czeka mój Filon miły pod umówionym jaworem". Karpiński przedstawił w tych sielankach świat dziwaczny, zamieszkały przez pasterki, pasterzy i ich owieczki; głównym zajęciem smierzącego strumyków i śpiewu ptaków, czasem kąpienia motyli. Ale tak właśnie w okresie panowania Stanisława Augusta poeci całej Europy pojowali "życie wiejskie". Karpiński włożył w swoje obrazki z "życia wiejskiego" urok prawdziwej poezji, "serce czułe" i pełną wrażliwość melancholii. Znane są także powszechnie jego piękne pieśni miłosne, zwłaszcza ta do "Justyny" / Marianny Brosselówny, pierwszej miłości poety.

Jeżeli ktoś ma zamiłowania historyczno-literackie, zainteresuje go rozprawa Karpińskiego "O wymowie w prozie albo w wierszu" / słowo "wymowa" oznacza tu literaturę piękną. Występuje w niej poeta prze-

ciwko regułom literackim wieku oświecenia, wszechwładnemu dotychczas rozumowi przeciwstawia serce, nawołuje do czerpania natchnień z natury, wyusza naszo oryginalności w poezji i zaleca walkę ze ślepyim naśladownictwem pisarzy starożytnych. W tejsze rozprawie zawarł Karpiniaki po raz pierwszy na język polski tłumaczone uryki z Pieśni Osjana, które wywarły wielki wpływ na twórczość wielu poetów europejskich, a które ktoś kiedyś nazwał jednym z największych skandali w historii literatury. Napisak że szkocki poeta Macpherson 1736-1796/ i udao mu się wmowić w czytelników, że to nie on jest ich autorem, że on je tylko przetłumaczył z celtyckiego na angielski, a naprawe je wypiekał stary bard, Osjan, w wieku III Po Chrystusie. Te Pieśni Osjana, znane z pewnością tym z pośród nas, którzy ucą się w szkockach brytyjskich, przetłumaczył później wierszem na polski współczesny Karpiniakiemu Kniażnin.

W historii literatury naszej Karpiniaki zajmuje wybitne stanowisko; jego twórczość i jego poglądy na sztukę pisania zwiastowały klasycznej epoce stenisławowskiej nowe prądy w poezji - przyniosły pierwsze powieły romantyzmu.

JAN PIŁICA.

GŁOS, z TAMTEJ STRONY WODY

WYWIAD Z HARCMISTRZEM SKORUPIKIM,
KOMENDANTEM GŁOWNYM ZHP WE FRANCOJI.

W związku ze zjazdem harcercskim przebywał ostatnio w W. Brytanii harcermistrz Kazimierz Skorupski, Komendant Główny ZHP we Francji, porucznik W. P. i zesłużony działacz Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość. Skorzystaliśmy z tego, żeby go poprosić o kilka słów wiadwu dla młodych czytelników polskich w W. Brytanii.

Harcermistrz Skorupski brał udział w walkach w Polsce i we Francji, był dwukrotnie ranny, dostał się do niewoli niemieckiej, skąd udao mu się zbiec i długie lata okupacji niemieckiej spędził potem we Francji, poświęcając się pracy społecznej, a w szczególności młodzieżowej i harcercskiej, prócz tego zaś biorąc udział w tajnej akcji antyniemieckiej, jako szef jednego z okręgów Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość we Francji południowej. To też wszystko, co mówi o wkładzie harcercstwa we Francji do wojny, to nie jest opowiadanie biernego obserwatora, tylko towarzysza broni - a może nie tylko "broni", ale nie wiem jak inaczej określić koleżeństwo, zrodzone wprawdzie nie na froncie, ale w warunkach tak samo niebezpiecznych jak frontowe, nad maszyną do pisania, przy nadsłuchu radiowym, w kontrolowanych przez Gestapo pociągach i na tajnych "melinach".

- Żeby zrozumieć sytuację Harcercstwa polskiego we Francji - mówi p. Skorupski - trzeba sobie przypomnieć, że nie wszędzie była ona jed-

nakowa: Francja dzieliła się przez czas dłuższy na dwie, a właściwie nawet trzy strefy, w których warunki życiowe rozwijały się w sposób zupełnie różny. W obrębie np. Alzacji i Lotaryngii, czyli w częściach Francji "włączonych" do Niemiec, wazelki ślad polskości był gwałtownie prześladowany i tępony. W t. zw. strefie "okupowanej" sytuacja przedstawiała się podobnie; harcerstwo zeszło tu w podziemia, z konieczności miało skromniejszy zasięg i ograniczało się właściwie do zbiorów, odbywanych pod pretekstem wycieczek, albo zebrań przywatnych, towarzyskich. Tylko w strefie "nieokupowanej", poźduńniowej, gdzie było nieco lżej, udao się nam w latach 1941-42, a nawet i w r. 1943 zorganizować obozowe akcje letniejsze obozy przeszło w pierwszym roku około 700, a w dalszych latach 600 i 400 harcerek i harcerczy. Była to oczywiście w ogromnej większości młodzież z przedwojennej jeszcze, dawnej emigracji polskiej we Francji, a młodzieży z emigracji wojennej mieliśmy na tych obozach od 5 do 7 procent.

- Jak się wyraził udział harcercstwa w tajnych pracach POWN ?-pytam.

- Harcercze i harcerczki oddawali liczne usługi bojowej organizacji polskiej w całej Francji, przeważnie nie wiedząc nawet o istnieniu tej organizacji, nie wiedząc właściwie, że tej sprawie służyć. Największe moze usługi oddali harcercze w służbie łączności. Niebezpieczne i ważne funkcje łącznościowe pomiędzy strefami nieokupowaną a okupowaną, oraz wewnątrz tych stref, spełniały często harcerczki, doskonale znające język francuski i zaopatrzone zwykle w fałszywe papiery francuskie. Drugą poważną dziedziną pracy harcerczy było ratownictwo. Liczne zastępy młodzieży, zwłaszcza dziewcząt, przeszły w czasie okupacji przeszkolenie ratownicze i dobrze się potem sprawiły zarówno w czasie nalotów, jak i w akcji wypędzania i rozbrajania Niemców. W tej dziedzinie wyróżniła się zwłaszcza Francja Północna. Prócz tego wiele starszych harcerek i harcerczy oraz instruktorów objęło stanowiska na różnych szczeblach organizacji czynnych POWN. Udział w tej pracy był oczywiście ściśle zakomponowany, poza najbliższą piątką członkowie przeważnie nie znali się nawzajem i dopiero na odprawach spotykałem wielu harcerczy, często jako szefów okręgów i pod-okręgów.

Nie obyło się oczywiście w tej akcji bez ofiar. Kiedyś naprzykład w okolicy Villard de Lens, gdzie jest szkoła polska, przygotowano lotnisko dla samolotów alianckich. Niemcy zrzucili nagle na ten teren spadochroniarzy z karabinami maszynowymi. Wywiązała się walka, w czasie której padło kilku harcerczy. Nie mówię już o wielu aresztowanych i wywiezionych do Niemiec.

Niezależnie od POWN harcercze brali też udział w tajnych wojskowych akcjach ewakuacyjnych, w akcji oświatowej i samokształceniowej.

- A jak się przedstawiały prace harcerczkie w tej chwili ?

- Wielu instruktorów i starszych harcerczy odeszło do wojska, ale prace nasze trwają. W tej chwili harcerstwo we Francji liczy około /dokończenie na stronie 24-tej/

SZLAKIEM POLSKIEJ MŁODZIEŻY



NASZA GAZETKA

2-GI NUMER "JUNAKA W ŚWIETLICY"

UKAZUJE SIĘ OD CZASU DO CZASU W M.P.

LOTNICZEJ SZKOŁY TECHNICZNEJ (61MN) DLA MŁODZIEŻY NR. 2.

"SZLAKIEM POLSKIEJ MŁODZIEŻY".

Grupa Junaków z Lotniczej Szkoły Technicznej w Halton wydała drugi numer swojej gazetki, której stronę tytułową reprodukuje powyżej. Słowo wstępne od redakcji zapoznaje nas z historią tego wydawnictwa; dowiadujemy się mianowicie, że w swoim czasie

"zespół MOLI KSIĄŻKOWYCH wydał gazetkę p. t. "Junak w Świetlicy". Gazetka ta cieszyła się nawet powodzeniem. Rozeszła się tak szeroko, że aż dotarła do rąk conajmniej kilkunastu junaków. Słowem impreza udała się i miała przed sobą przyszłość. Tymczasem drugi numer tego piśmka nie ukazywał się... Zapytacie : co się stało? Właśnie na to chcemy odpowiedzieć.

Wyobraźcie sobie, że przez cały ten czas, t. zn. od 17 listopada ub. r. redakcja istniała i pracowała, a raczej zastanawiała się, jak zmienić nazwę swego grona "Moli Książkowych" i jaką dać nazwę drugiej z kolei gazetce? Obrady te ostatecznie przyniosły owoce. Od dzisiaj będziemy nazywać się: KOŁO MIŁOSNIKÓW KSIĄŻKI, a gazetkę naszą dajemy imię: SZLAKIEM POLSKIEJ MŁODZIEŻY."

Na zakończenie tego słowa wstępnego Redakcja zwraca się jeszcze do czytelników z apelem o współpracę i zapewnia, że się nadesłane artykuły nie zarmują, bo Redaktor albo je zamieści, albo "wrzuci do pojemnego kosza redaktorskiego. Tym się nie przejmujcie. Wojna jesz-

cze trwa i jest duże zapotrzebowanie na t. zw. "waste paper".

Jak z tego wstępu wynika, Redakcja na pewien czas "zeszła z podziemia" junackie i poświęciła się rozmyślaniom o przyszłości, a potem a/z Moli zmieniła się w Miłośników/jak z poczwarki - w motyla/b/zaopatrzyła się w duży kosz redakcyjny, od czego jeden już tylko krok prowadził do c/wznowienia gazetki. Wreszcie d/piśmko wydano. Przerwa między jednym numerem a drugim dość długa, ale ktoś lepiej to zrozumie niż nasze wydawnictwo, z jego wiecznymi kłopotami techniczno-drukarskimi.

Bieżący numer Miłośnicy Książki poświęcili Konstytucji Trzecio-majowej i Polakiej Książce. Na 22 stronach starannie powielonego tekstu znajdujemy w piśmieku trzecio-majowy wiersz Konopnickiej, artykuł o znaczeniu Konstytucji, a dalej szereg dobrze i ciekawie wybranych myśli na temat stosunku czytelnika do książki i kilka książeczek poświęconych wzmianek i artykułów. Numer zawiera też wspomnienie o Warzawie, felieton marynarki, wspomnienie harcerza o wrześnie - wych dniach 1939 roku i obszerny list przyjaciela Junaków, oficera marynarki norweskiej, który, jak z listu wynika, bardzo Junaków lubi /kto ich nie lubi? Niech się zgodzi do naszej redakcji w godzinach między 6 a 7 rano, wyzywamy go "na udeptaną ziemię"; tylko niech przedtem wypełni 13 formularzy (jakichkolwiek), niech zażęczy świa - detwo lekarackie (że jest zdrow na umyśle) i niech poczeka aż zaanga - żujemy sekretarza, żeby się miał od kogo dowiedzieć, że ma przyjść jutro/. Bardzo ciekawa dla postronnego czytelnika jest część, zawierająca opisy życia Junaków w Halton. Z "Kroniki" dowiadujemy się, że oprócz Koła Miłośników Książki istnieje jeszcze w Halton Kółko Szachistów, Kółko Chemiczno-Fotograficzne i Kółko Elektryczne, i że do zadań Koła Miłośników Książki należy w inn. robienie konkursów literackich, pisanie spostrzeżeń o przeczytanych książkach i opieka nad książkami w bibliotece. /z rezultatami jednego z konkursów literackich tego Koła czytelnicy Nowin Majowych zapoznają się w następnym naszym zeszytach/.

Oprócz tego jest jeszcze w gazetce Kącik Elektryczny, są szarady i pozyrki matematyczne, wiersze i proza i w ogóle czego tam nie ma/będów korektorskich nie ma, nudnych artykułów nie ma, itd./ Piśmko wydane jest bardzo starannie i Nowiny Majowe, zobaczywszy je, najpierw z majowo zielonych zrobiły się z zawiści zadowolonej żółte jak stara, zeschnięta, październikowa cytryna, ale po krótkiej walce wewnętrznej /między współpracownikami redakcji, wyników nie ogłaszamy; tajemnica redakcyjna/ postanowiły wazelką zawiść i obawę konkurencji sować do kieszeni i do bratniej gazetki Junaków skierować w imieniu redakcji i czytelników jak najserdeczniejsze życzenia dalszego powodzenia. Oby zdobyli jeszcze conajmniej dwóch czytelników! Oby im nigdy nie zabrakło tematów, pomysłów, ani wykonawców! Oby redaktorzy dostali extra-przepustkę! I oby im nigdy nie pękło sznurowadko, kiedy pędzą ze szkoły na obiad!

GŁOS "Z TAMTEJ STRONY WODY" /dokończenie/.

8.000 młodzieży i członków kół przyjaciół harcerstwa w 5-ciu okręgach : Francja Północna, Wschodnia, Paryż, Lyon i Tuluza.

- A plany na przyszłość ?

- Zamierzamy jak najusilniej pracować nad podniesieniem i utrzymaniem najwyższego poziomu ideowego w naszych szeregach. Zwracamy zasadniczą uwagę na sprawy natury wychowawczej i bardziej nam zależy na doskonaleniu się i wznoszeniu ideowym, niż na ilościowym rozbudowywaniu naszych szeregów. Zamierzamy też dążyć do bliskiego, przyjaznego współżycia z innymi organizacjami w terenie, do stworzenia Komitetu Porozumiewawczego organizacji polskich we Francji, stojących na gruncie wspólnych z nami założeń.

- A kontakt ze światem, z zagranicą ?

- Oczywiście przez długie lata okupacji młodzież nasza we Francji interesowała się przede wszystkim sprawami kraju i akcją wojska polskiego na obczyźnie. Jedynym źródłem wiadomości o kraju było dla niej właściwie radio londyńskie. Pomimo, że tam młodzież należy do dawnej, przedwojennej emigracji, pomimo, że niektórzy w ogóle kraju nie widzieli, inni zaś przywędrowali do Francji jako małe dzieci - jednakże w czasie tej wojny z wspólnym wrogiem Polski i Francji, cała młodzież ta dowiodła czynem swego patriotycznego stosunku do Starego Kraju. Kilka lat w życiu młodego człowieka znaczy bardzo wiele, im tych kilka lat wojny i okupacji upłynęło w zupełnie odmiennych warunkach niż wam tutaj w Anglii. W Anglii były naloty, we Francji byli Niemcy, był głód, były ciężkie warunki życiowe. We Francji młodzież stawiała często wobec zadań bardzo poważnych, wobec najprawdziwszych w świecie śmiertelnych niebezpieczeństw, czynem i słowem walczyła z okupantem. Przeszła twardą szkołę charakterów, spoważniała i dojrzała. Zastanawiam się w tej chwili, czy pomimo tych kilku lat zupełnie odmiennych warunków życiowych i pomimo Kanału, który was dzieli, znaleźlibyście wspólny język? Nie wątpię, że tak - ale teoretyczne rozważania na ten temat wydają mi się zupełnie niepotrzebne. Lepiej po prostu napiszcie do nich za pośrednictwem naszej komendy: Komenda Główna ZHP, 7, rue Crillon, Paris IV. Listy prześlemy drużynom i w ten sposób nawiążecie z nimi bezpośredni, stały kontakt i z pierwszego źródła dowiecie się wszystkiego tego, co wam tu próbowałem w najbardziej ogólnych ramach naszkicować.



NOWINY MAJOWE dla młodzieży
pod redakcją M. L. Ponikowskiej
Wydawca : Komitet Naczelny
ZWIAZKU HARCERSTWA POLSKIEGO
17, Chantrey House, Eccleston Street
London S. W. 1



Wyd. "Zuch"

Cena 1/6

V/45



archiwum

harcerskie.pl